

Od autora: z cyklu Opowieści wierutne – Uśmiech – Tryptyk renesansowy.

*Prawdziwie wielka miłość rodzi się
z dokładnego poznania rzeczy,
którą się miłuje.*

Leonardo da Vinci

*Piękno to sposób odczuwania,
a więc leży ono w tobie i wszystko inne
jest tylko próbą jego wydobycia.*

Uśmiech

Opowieść renesansowa

Podobno malował ją przez cztery lata... Podobno sprowadzał muzyków i trefnisiów, by rozweselali ją podczas pozowania, i by jej wizerunek nie wyrażał owej bezwiednej melancholii, tak częstej u portretowanych osób. Może milczał, a może zabawiał ją rozmową. A może to ona milczała i tylko przelotny uśmiech drgał czasem na ustach, jak drga tafla wody w powiewach wiatru?

Kto wie...

Nie spieszył się. Czasami patrzył długo na jej twarz, a potem dodawał tylko jedno pociągnięcie pędzla i odchodził. Kim była dla niego? Jeszcze jednym portretem na zamówienie? A może kończył ją malować już tylko dla siebie?

Podobno nigdy nie zadowalał się tym, co stworzył, i niewiele dzieł doprowadził do ukończenia, gdyż uważał, że ręka nigdy nie dorówna umysłowi. Czyż jednak nie może być doskonałym dzieło nieskończone? Pozwalające jedynie domniemywać, jak mogłaby wyglądać jego ostateczna forma? Czysty, wysublimowany ekstrakt ludzkiego geniuszu. Nieśmiertelna idea piękna zamknięta w wyobraźni.

Nie kończył dzieł, bo nic nie dorównywało jego wyobrażeniom. Bo badał i eksperymentował przez całe życie i może zbyt wcześnie odkrył prawdę, że nie ma granic poznania, a więc i nie może być nic skończonego. Można tylko dążyć do doskonałości, natomiast osiągnąć się jej nie da. A jednak stworzył ideał doskonałości nieskończonej i pokorą musi napępniać myśl, czego jeszcze mógłby dokonać.

Podobno malował ją przez parę lat... Może popatrzyła na niego w milczeniu, gdy zaraz pierwszego dnia zdjął z jej palców i czoła drogocenne klejnoty. Może rozumiała bez słów, że ideał doskonałości nie polega na złudnym przepychu. A może dla niego najcenniejszym klejnotem była jej twarz i ten uśmiech, który czasem gościł przelotnie na wargach, i który poznawał wciąż na nowo, nie wiedząc, co chciała nim wyrazić, niewiedzę tę przekazując nam w spadku?

Kim była dla ciebie Mona Liza, Leonardo, że jej portret do końca życia wozileś ze sobą?

A jeżeli tym razem pozaświadoma doskonałość rąk zadała kłam umysłowi? Co takiego stało się wówczas, podczas pozowania, że delikatny uśmiech czający się w oczach spłynął na usta... Może powie-

działa coś, na co drgnęła ci ręka, i ten właśnie uśmiech, uśmiech kobiety milczącej, zawisł nagle jak pajęcza nitka w przestrzeni? A może nie powiedziała nic i tylko oczy przekazały jednym spojrzeniem to wszystko, co chciałeś usłyszeć?

Bo jeżeli ktoś przyjrzy się baczniej, zauważy, że tajemnica uśmiechu Giocondy nie kryje się jedynie w układzie jej warg. Ta niepokojąca dwuznaczność, to dwa oddziałujące na siebie, przeciwstawne uśmiechy – oczu i ust. Gdyż każdy jest inny.

Podobno malował ją przez parę lat, jak zresztą większość swoich obrazów. Jej portret jest niemal skończony... Jeżeli więc dzieło sztuki jest także sposobem poznania, a poznanie rodzi miłość, to czy kochałeś ją, Leonardo, czy tylko własną sztukę?

*Być wiecznym –
to znaczy kiedyś istnieć.*

Max Frisch

Opowieść renesansowa – przekorna

Tego pamiętnego dnia włożyłam najpiękniejszą suknię i najcenniejsze klejnoty. Rozumiałam, jaki spotkał mnie zaszczyt, i mimo iż mąż twierdził, że nawet największy artysta istnieje, by go wynajmowano, czułam, że jemu też schlebiła zgoda mistrza Leonarda na wykonanie portretu. Widziałam to po sposobie, w jaki obchodził mnie dookoła, wygładzając fałdy sukni, zanim ruszyłam w stronę komnaty, gdzie zasiąść miałam do pozowania.

Leonardo już stał przy oknie i układał przybory. Gdy weszłam, odwrócił głowę, obrzucając mnie szybkim, uważnym spojrzeniem. Usiadłam, rozłożyłam szeroko spódnicę i czekałam w milczeniu.

Podszedł i zanim zdążyłam zareagować, zaczął odpinać naszyjnik, a potem sięgnął w stronę palców. Zaskoczona, uniosłam głowę. Leonardo spokojnie odłożył klejnoty na stoliczek, wyciągnął z zanadru srebrny ołówek i zabrał się do szkicowania.

– Czy suknię też mam zdjąć? – spytałam uszczypliwie.

– Zmienić – odparł krótko.

Uśmiechnęłam się w duchu na myśl, jakim to będzie szokiem dla próżności małżonka, bo jeżeli o mnie chodzi, nie miałam nic przeciwko temu. Mnie w zupełności wystarczało, że mogę pozować wielkiemu Leonardo i robiłabym to nawet wtedy, gdyby zechciał, żebym była naga.

W parę dni później pożyczyłam od służącej skromną brunatną szatę i ponownie zasiadłam na podium. Mąż protestował wprawdzie, ale nawet on nie miał odwagi wyklócać się z mistrzem. Może żywił zresztą nadzieję, że Leonardo w trakcie pracy domaluje jednak te wszystkie precjoza, bo nie wyobrażał sobie, prawdę mówiąc, by mógł tego nie zrobić. Nikt tak nie robił. Co do mnie, nie miałam złudzeń. Odgadłam to po spojrzeniu mistrza i z tych paru słów, jakie padły owego dnia podczas pozowania.

– Czy życzysz sobie coś bardziej jeszcze skromnego, mój panie? Może w szarym kolorze? – spytałam ze spokojem i przewrotnie uśmiechnęłam się w duchu, bo pod stanikiem sukni ukryłam złoty łańcuch z wisiorem.

– Wystarczy – powiedział.

Miał jednak bystry wzrok, ponieważ podczas następnego seansu odnalazł klejnot, którego zresztą nie

starałam się wcale ukryć aż tak dokładnie, i własnoręcznie zdjął go z mojej szyi.

– Czy dlatego, że blask drogocennych kamieni rozprasza twoją uwagę, panie? – spytałam niewinnie.

– Nic nie jest w stanie jej rozproszyć – odparł, poważniejąc. – Dobry artysta zawsze panuje nad dziełem, gdyż dyktowane jest przez umysł, nie złudzenia.

Uśmiechnęłam się lekko. Tego dnia miałam jeszcze jeden klejnot przy sobie, czego on nie domyślił się nawet.

– Czy znowu przemyciłaś coś, pani? – zapytał następnym razem i, o dziwo, jakby się uśmiechnął.

– A więc rozprasza cię myśl o tym? Że malując mnie, malujesz także coś, na co nie masz wpływu i nawet nie wiesz, jak może wyglądać? – spytałam w odpowiedzi.

A potem, wstając, pozwoliłam, by z rękawa wysunął się pierścień i z cichym brzękiem opadł na posadzkę. Schylił się i podnosząc go, obejrzał dokładnie.

– Nic dzisiaj nie mówisz, pani – powiedział w jakiś czas potem. – Uśmiechasz się tylko... Czy dlatego, że zaprosiłem muzyków i bawi cię ich sztuka?

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. W ustach czułam małą złotą błyskotkę z diamentem, dawny dziecinny klejnocik, który otrzymać miała moja córka. Nie dożyła tej chwili... Zrobiło mi się smutno. Może wyczuł to, bo nie pytał o nic więcej. A może był zmęczony?

Widziałam znużenie w ruchach jego rąk i w spojrzeniu, które czasem stawało się dziwnie nieobecne. Odgadywałam, gdzie wtedy może być. Na polu bitwy pod Anghiari... Pojęłam też, że nie mam wiele czasu.

– Podobno nigdy nie kończysz swoich dzieł, panie – powiedziałam cicho.

– Kończę. Na tyle, na ile w danym momencie mogą być skończone – odparł spokojnie. – Twój portret, pani, jest prawie gotowy.

Podeszłam do sztalug. Spojrzałam w twarz samej sobie i uśmiechnęłam się lekko.

– Czy malujesz tylko to, co widzisz, czy też, co czujesz, lub czego się domyślasz? – spytałam poważnie. Tego dnia miałam przy sobie wiele różnych klejnotów, ukrytych między innymi także pod włosami.

Nie odpowiadał przez długą chwilę, jakby zastanawiając się nad tym, a potem niespodziewanie zaczął zbierać pędzle.

– Chyba wyjaśnię to już innym razem, Mona Lizo – powiedział.

Wiedziałam, że prawdopodobnie będzie to ostatni raz. Ta zabawa trwała od wielu miesięcy, a on był stary i zmęczony, i jak słyszałam, nie wszystko w owym czasie układało się dobrze. Krążyły plotki, że Bitwa pod Anghiari okazała się porażką, artystyczną klęską Leonarda. Nie jeżeli chodzi o karton, lecz o wykonanie. Jak zwykle zaczął eksperymentować i... nie udało, niestety. Ogniska zapalone pod ścianą nie wysuszyły tynku i w górnych partiach farba zaczęła pnieć się i spływać.

W tej sytuacji nie mogłam wymagać, by grał ze mną w domysły. Zresztą już od dłuższego czasu bawiłam się bez jego udziału, ukrywając na sobie coraz więcej klejnotów i czerpiąc z tego odrobinę przekornej, a może nawet przewrotnej radości.

Tak nadszedł ostatni dzień pozowania.

Włożyłam tę samą starą brunatną suknię i każdy klejnot umieściłam dokładnie tam, gdzie ukryty był podczas poprzednich seansów. Na koniec schowałam w ustach swoją dziecinną błyskotkę i zeszłam do komnaty. Leonardo już czekał. Bez pośpiechu podeszłam do krzesła, usiadłam i uśmiechnęłam się w milczeniu. W ciszy, jaka zapanowała, słyszać było tylko daleki śpiew ptaków w ogrodzie i lekki szelest szaty Leonarda poruszającego się przy sztalugach. A potem odłożył pędzel i podszedł do małego stoliczka pod oknem. Odwrócony tyłem, sięgnął po kielich z wodą i podnosząc go do ust, zapatrzył się gdzieś przed

siebie... Cicho i niemal niedostrzegalnie zaczęłam wydobywać z ukrycia klejnoty i składać je na kolanach.

– Mój mąż jest nieco rozczarowany, mistrzu – przerwałam milczenie, gdy odwrócił się w stronę obrazu.

Popatrzył na mnie, na splątane w nieładzie błyskotki, i zapytał spokojnie: – A ty, pani?

– Ja nie – powiedziałam cicho. – Wszak namalowałeś je wszystkie. Tylko dla mnie. Rzuciłam mu ostatni przekorny uśmiech i zbierając fałdy spódnicy, wyszłam z komnaty.

Nie odesłał mojego portretu, na każdą interwencję męża odpowiadając krótko, że jeszcze nie skończył. A potem wyjechał. I nie zobaczyłam go już nigdy więcej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miladora, dodano 23.11.2017 23:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.